Lwów, 5. Grudnia. №145. Rok 1854.

NOWINY

Wychodzą we *Wtorek*, *Czwartek* i *Sobotę*. We Lwowie prenumerata roczna **6** Złr. — półroczna **3** Złr — kwartalna **1** Złr. **30** kr. — miesięczna **30** kr. m. k. W kraju z przesyłką pocztową rocznie **8** Złr.— półrocznie **4** Złr.—kwartalnie **2** Złr. m. k.

Ogłoszenia wszelkiego rodzaju przyjmują się za opłatą od wierszu pismem petyt w przedziałce za jednorazowe umieszczenie po **3** kr., za następ. po 1½ kr. i za dopłatę 10 kr. stępl. za każdorazowe umieszczenie. Bióro expedycyi wksięgarni *H. W. Kallenbacha.*

DZIWO - ŻONA.

Powieść spółczesna

przez

Zygmunta Kaczkowskiego.

(Ciąg dalszy.)

XVI.

Ale Kamil był jak się zdaje jednym z tych ludzi, którzy stworzeni są na to, ażeby robili majątek. Tacy ludzie zdarzają się często na świecie: są to prawdziwe Midasy, czego tylko dotkną się ręką, wszystko obraca się w złoto. Nie umiejąc grać, wygrywają we wszystkie gry zawsze i wszędzie, nie spekulując zyskują na wszystkiem, co tylko kupią, to za bezcen, a co sprzedadzą, to za summy bajońskie, biorą ustawicznie puścizny po jakich nieznanych nigdy przez siebie stryjecznych babkach i ciotuniach, gospodarując najgorzej, mają najpiękniejsze urodzaje i najwyższe wydatki, rozsypują pieniądze a kieszeń ich ciągle pełna, majątek w ustawicznym wzroście i zgoła zewsząd sypie się na nich złoto, jak śnieg na zamiecie. Takim szczęśliwym pod tym względem człowiekiem był Kamil. Jakoż zaraz szef jego, domyśliwszy się jego kieszeniowego stanu, zapomógł go własnemi pieniędzmi i do przedsięwzięcia pierwszej spekulacyi zniewolił. Spekulacya się szczęśliwie powiodła i Kamil, nie przyczyniwszy się niczem do tego, został zaraz panem kilku tysięcy gotowizny. Obrot pieniędzy we Francyi jest prędki, a kto się rzuci w przedsiębiorstwa finansowe, ten nie długo musi czekać na to, ażeby się los jego rozstrzygnął. Francuzi są niecierpliwi i przyzwyczaili tak swoje przeznaczenia i losy, że muszą dogadzać tej ich niecierpliwości. Tam autorowie, artyści, finansiści, kupcy, rzemieślnicy nawet, częstokroć w kilka miesięcy po rozpoczęciu zawodu już wiedzą naprzód, jaka przyszłość ich czeka i z tej wiadomości zręcznie umieją korzystać. To też i Kamil mógł zaraz po pierwszym kroku uczynionym w finansowym zawodzie wiedzieć, jaka droga mu się ściele na przyszłość, a jeżeli nie wiedział, to się prędko o niej przekonał. Albowiem po szczęśliwie zrobionym początku szef jego wskazał mu drugą spekulacyę podobną, a niebawem i trzecią i czwartą, a kiedy wszystko się tak udawało, że Kamil po niespełna pół roku, pomimo ogromnych jałmużn, któremi z rozrzutnością swych ziomków wspomagał, był już właścicielem kilkudziesięciu tysięcy, szef jego wysłał go do Marsylii i z zawiadowcy Marsylskiego biόra w Paryżu, uczynił go naczelnikiem całego handlu swego mającego skład główny w Marsylii. A wyprawiając go tam, obznajomił go naprzód ze wszystkiemi stosunkami miejscowemi i znowu powskazywał mu środki i drogi, na których może prowadzić korzystne spekulacye na swoją rękę.

I tak Kamil znalazł się w krótkim czasie na stanowisku takiem, że nie tylko nie potrzebował się troszczyć o chleb swój codzienny, ale stał się władcą losu wielkiej liczby podwładnych a nadewszystko panem znacznych kapitałów, któremi mógł rozporządzać wedle swojego kaprysu. Obowiązków swoich względem domu, któremu służył, dopełniał on zawsze z najsumienniejszą skrupulatnością a kiedy tego potrzeba było, to nawet z poświęceniem swego własnego dobra i wszystkiego, co się odnosiło do jego osoby. Niezmordowanym był w pracy i niepokalanym w wierności, i to mu zjednało nieograniczoną ufność swych przełożonych i zapewniło ich pomoc we wszystkich jego własnych sprawach. Pomoc tę dawali oni mu ciągle i zawiadowali jego własne interesa w Paryżu tak samo, jak on zawiadował interesa ich domu w Marsylii; pomimo to jednak powodzenia swoje nadspodziwane zawdzięczał on pewnie nie tyle tej wdzięcznej pomocy, ile owemu osobliwszemu szczęściu, które towarzyszyło mu w każdym kroku. Niesłychane-bo też to było szczęście, dziwne wszystkim jego znajomym a przez nikogo nieodgadnione. Powiadano bowiem powszechnie, że zawsze najniedorzeczniejsze spekulacye przedsiębrał, najniebezpieczniejszym przedsiębiorstwom swe kapitały powierzał, najniepewniejszym sprawom zaufanie swe dawał, — a przecież nigdy nie tracił. Gdzie on włożył pieniądze, tam się pewnie zysk wielki okazał, które papiery kupił, te niezawodnie poszły ogromnie w górę, które sprzedał, te nieomylnie upadły. Dziwowano się temu, śmiano się czasem z niego, ostrzegano go nawet nieraz przed umyślną stratą, — ale on nigdy nikogo nie słuchał, nikomu się nie tłumaczył i zawsze zwyciężył a jego fortuna rosła w sposób niepojęty i zadziwiający.

Ktokolwiek inny na jego miejscu, stawszy się z ubogiego tułacza panem tak znacznej fortuny i jeszcze daleko większych widoków na przyszłość był-by się miał za człowieka najszczęśliwszego na ziemi i jeżeli-by był nie zbutniał w tem szczęściu, to był-by przynajmniej wzrósł w swych oczach i począł marzyć o zyskaniu dla siebie jakiejś zaszczytnej pozycyi w świecie, o znaczeniu pomiędzy ludźmi, o połączeniu się z jakim domem znaczniejszym, o

przyszłości swojego rodu i wszystkich tych nabytkach doczesnych, które są ostatecznym celem i bożyszczami nowej arystokracyi kramarskiej, owej najmaterialniejszej w swych celach, najpoziomszej na duchu i najpróżniejszej w swojem znaczeniu kasty, jaka kiedykolwiek istniała na świecie. Ale powodzenie takie nie było żadnem szczęściem dla łakomego innych powodzeń Kamila. Gromadząc massy złota i obdzierając giełdy z papierów, był on ciągle smutny, zamyślony, milczący. Bladość wieczna okrywała jego wychudłe lice, twarz jego przybrała wyraz surowy a nawet ponury, oczy zdawały się być zakrzepłe w głębokiem zamyśleniu i smutku. Ziomkowie i cudzoziemcy, którzy otaczali jego szkatułę, dziwowali się temu, wypytywali go o przyczynę tego usposobienia i starali się go rozerwać, — ale on tylko z politowaniem poglądał na nich i odpowiadał im wybuchami gorzkiego szyderstwa, a kiedy to nie skutkowało, rzucał im garście złota i tem odpędzał ich od siebie. Stan jego duszy był rzeczywiście dziwny, smutek walczył w nim z męskością i energią umysłu, zwątpienie z nadzieją, miłość z nienawiścią a nad tą walką panowało jakieś zabijące znudzenie się bezczynnością w wybranym od młodości zawodzie, znudzenie się długiem oddaleniem od kraju, znudzenie się tem szczęściem kupieckiem, którego nie umiał po ludzku ocenić, a które wydawało mu się jakiemś srogiem szyderstwem losu z jego myśli wyniosłych, uczuć głębokich i daleko sięgających dążności. Szczęście to zdawało mu się jakąś upokarzającą odprawą: porównywał siebie do gościa, który do zamku zajechał a zasadzono go do uczty z czeladzią, to znów do młodzieńca, który prosił o rękę i serce dziewicy a zamiast niej rzucono mu kiesę złota pod nogi, to wreszcie do rycerza, przypuszczającego szturm do wspaniałej warowni a zdobywającego szpichrz i stodołę. I czując się upokorzonym tą swoją zdobyczą, gardził nią, wstydził się jej i chciał się jej pozbyć koniecznie. Chwile takiego szału były w nim okropne; rozrzucał wtedy pieniądze garściami, wkładał je w przedsiębiorstwa wiszące nad oczewistym upadkiem, kupował wexle zbankrutowanych domów; ale wszystko to nic nie pomagało; przedsiębiorstwa upadające natychmiast się podnosiły, domy zbankrutowane wypłacały się z rzetelnością a jego pieniądze wracały z ogromnemi zyskami na powrót do jego szkatuły. Raz nawet, kiedy wieść przyszła, że dwa okręty, wyprawione przez towarzystwo akcyonaryuszów z jakimś towarem do południowej Ameryki, zatopiły się w drodze, i Kamil będący pod tę porę w swojem usposobieniu dziwacznem, wszystkie akcye tego przedsiębiorstwa, znajdujące się w miejscu, zakupił: i już śmiano się w głos z niego na targu i on sam śmiał się w duszy ze swojego szaleństwa: okręty szczęśliwie przybiły do brzegu a szaleniec potroił swoją summę wkładową.

Po tym wypadku zaczęto różnie mówić o Kamilu, jak to zwyczajnie się trafia ludziom, mającym szybkie i wielkie powodzenie w jakim zawodzie; wszakże cokolwiek tam bądź wymyslała na niego pieprzowa i imbeirowa chałastra, zawsze imie jego nabrało pełno utrwalonej sławy i nieobojętnego znaczenia. Znaczenie to nie opierało się wprawdzie na opinii publicznej narodu i może nawet nie przechodziło granic miasta i klassy handlowej, ale współtowarzysze jego, którzy radzi wiedzieli wszystko o wszystkich, zwrócili nań teraz szczególniejszą uwagę i nawet dali mu do poznania, iż im to przykro jest, że o nich zapomniał. Chwila ta zdawała się Kamilowi znowu sposobną do wystąpienia z głosem stanowczym w towarzystwie, jakoż zaraz zdecydował się na to, powiedział sobie: teraz lub nigdy, — i pod pozorem spraw swoich handlowych, do Paryża wyjechał. Towarzysze jego przyjęli go z otwartemi ramiony a po zwierzeniach, które ze wszech stron przed nim czyniono, zdawało mu się, że droga już stoi otwarta przed nim do samoistnego działania. Ażeby jednak przekonać się nieomylnie, co mu zjednało teraźniesza wziętość i braterskie afekta, postanowił sobie zamknąć swoją szkatułę przed towarzystwem na teraz, a otworzyć im tylko swego ducha i serce. Jaki był skutek tej próby, każdy się łatwo domyśli, komu dzieje owych czasów i ludzi znajome. Kamil ich nie znał jeszcze i jeszcze im wierzył, — ale niestety! wiara ta nie mogła trwać dłużej nad kilka tygodni. A po kilku tygodniach poznał on te dzieje i wstrząsł się z oburzenia przed niemi, — poznał ludzi, i przeklął ich sumienia a nimi pogardził, — przewidział przyszłość i rozpacz go objęła okropna. Bo on kochał kraj z serca i miał jeszcze sumienie!

Zawód ten trzeci był za nadto silnym ciosem dla niego, ażeby go mógł bez szkody wytrzymać. Ciężka słabość go z nóg zwaliła i przykuła do łoża na pare miesięcy. Śród tej choroby zrywał on się wciąż z łoża i chciał biedz do swych towarzyszów, ażeby ich zamiary zniweczyć i klęski przewidziane odwrócić. Działo się to bowiem w roku 1845 i pokazywały się już znaki krwi na niebie i na ziemi. I wbiegł kilka razy pomiędzy swych towarzyszów, — i rzucał im mowy groźne, zastraszające i wielkie, — jak drugi Jonasz stawał przed mieszkańcami Niniwy i miotał pioruny ducha, przepowiadając pioruny z płomienia i siarki, — ale to wszystko nic nie pomogło. Mowy jego były odepchnięte z szyderstwem a on, ogłoszony fałszywym prorokiem, powracał tylko z ognistszą gorączką do domu.

Wśród tej choroby wszakże miał on przyjaciół, którzy go nawiedzali. Podczas jego gorączkowego usposobienia i szału nie odzywali oni się z niczem przeciwko jego teraźniejszym opinijom, lecz kiedy się duch jego wyszalał i zaczął się układać cokolwiek, poczęli go przekonywać, że jego przeczucia nie są prawdziwemi a widzenie rzeczy skrzywione. Na dowód tego powtarzali mu owe wieści kłamane, owe podrabiane raporta, owe wyrachowania zwyciężające liczbami na cierpliwym papierze, któremi oszukiwa-

no natenczas świat cały, Kamil nie mógł uwierzyć tym wieściom, ale też nie mógł im także dowodnie zaprzeczyć, — więc umilkł i zapadł w ów stan niepewności chwiejącej się ciągle a nie mogącej się przechwiać na żadną stronę. Nie wierzył w daty, lecz wierzył w ideę, — i ta wiara zamknęła mu usta i kazała być cierpliwym do czasu.

Ale czas nie nadużył jego cierpliwości bynajmniej. Prędko już bowiem skończyła się ta tragedya wielkiej powagi i ciszy greckiej, — przyszedł rok czterdziesty szósty, — i ta wielka idea zamieniła się w czyn........ a ten czyn wystąpił z nożem w ręku jak zbójca i krótką chwilę swojego istnienia naznaczył łunami pożarów, stosami rozszarpanych ciał i morzem krwi.

Wypadek ten uderzył w Kamila z całą gwałtownością olbrzymiej klęski i stał się dla niego istotnem morderstwem moralnem. Nie spodziewał on się nigdy, ażeby tak okropną maskaradę z nim wyprawiła jego ulubiona idea, jego wiara najświętsza; nie spodziewał się nigdy, ażeby prosta, niewinna i pełna miłości teorya tak krwiożerczą hyeną mogła się stać w zastosowaniu, — i to go zabiło. Trująca gorycz rozlała się po jego ciele, czarna noc zapadła nad jego umysłem, krew braterska zapiekła się przy jego sercu, i rozpacz najokropniejsza objęła całą duszę jego. Zdawało mu się, że ziemia się wyślizgnęła z pod stóp jego, że zbrodnia w postaci piekielnego upiora osiadła na jego sumieniu, że głos wiekuisty wypiekł na jego duszy wyrok potępienia. Szczęściem przyszła na niego znów ciężka choroba. Kilka miesięcy strawił on w ustawicznej gorączce i nieświadomości tego wszystkiego, co się działo na świecie. A kiedy choroba przeminęła, wstał zdrów na ciele, ale dziwnie schorowany na duszy. Nic go nie zajmowało, nic nie bawiło a jego duszę owionęła jakaś drewniana apatya, obojętność dla wszystkich i dla wszystkiego. Podziękował swojemu pryncypałowi za służbę, zerwał wszelkie związki handlowe, poodsuwał swoich przyjaciół od siebie i zarzucił wszelkie czynności. Wśród gwarliwego i wciąż tańcującego Paryża stał się pustelnikiem samotnym, oddalonym od świata i ludzi, obalonym na duchu i marzącym nieszczęście......

Wielkie nieszczęścia i wielkie zawody to mają do siebie, że po nich długo przyjść nie mogą do siebie umysł, rozum, odwaga i inne władze albo przymioty ludzkiego ducha; lecz serce, jakkolwiek-by tam było przedtem twarde i nieporuszone: po nieszczęściach robi się czulszem i tkliwszem, i pod ciężarem żałoby szuka rostargnienia w miłości lub niewinności. Tak się też stało i z Kamilem w tej chwili. Powodów do nienawiści miał on zapewne niemało, boć połową jego głównej idei, w której się z dziecka wychował, była nienawiść, poprzysiężona całemu stanowi w narodzie: ale miłość jego była większa i silniejsza nad wszelką nienawiść. Więc miłość się w nim obudziła podczas tej jego apatyi, tej próżni duchowej, miłość pierwsza i ostatnia, powzięta niegdyś przed laty nad Jarem pogańskim i do dziś w nim żyjąca, i do dziś nie skończona......... (C. d. n.)

Niezapominajki.

Kiedy Bóg w pierwszych dniach świata stworzenia
Ubarwił kwiaty w kolorów tysiące,
Co siłą Jego wszechmocnego tchnienia
Rozścieliły się kobiercem na łące,
Zstąpił na ziemię — i z upodobaniem
Łaskawie przyjrzał się dziełu swojemu,
A uproszony ich kornem błaganiem,
Nadawał nazwę, znaczenie każdemu:
— „Ty co wśród trawki kwitniesz w samotności,
„Barwa niebieska jest twoim udziałem,
„Zwij się fiołkiem, bądź datkiem stałości,
„Dla kochających dwojga serc z zapałem.
„Jesteś malutki, lecz wonią przyjemny;
„Wonią i barwą, choć w trawce schowany,
„Zwabisz do siebie przez pociąg tajemny,
„Tego co kocha i co jest kochany.
— „Wy kształtem równe, lecz barwą odmienne,
„Biała z różową jesteście siostrzyczki,
„Jak woń ta sama, tak czucia wzajemne,
„I nazwa wspólna wam będzie: różyczki!
„Różowa — miłość, a niewinność — biała,
„Będzie koloru waszego znaczenie.
„Miłość wzajemna będzie razem stała,
„Jeśli niewinność znajdzie w niej schronienie.
„Wam na łodydze kolce umieściłem,
„Aby niewinność od zguby ochronić,
„I miłość równie przez nie nauczyłem,
„Że łezkę bólu ma czasem uronić.“

* * *

Tak od pierwiosnka aż do zimokwitu,
Gdy wszystkie miały nazwę i znaczenie,
Nie miał kwiateczek jasnego błękitu,
Co nad strumykiem kwitł niespostrzeżenie.
I choć swą główkę nieśmiało podnosił,
Aby od Stwórcy mógł być uważany,
Siwe swe oczka łzą strumyka zrosił,
Bo sądził, biedny że jest zapomniany.
Lecz strumyk, co mu swej łezki udzielił,
Odgadł niebawem wewnętrzne cierpienia,
Wyskoczył na brzeg, i rzec się ośmielił:
„Tu jest kwiateczek, co niema imienia!“
I spojrzał Stwórca — łzę otarł sierocie,
Kwiateczek zadrżał, główkę spuścił skromnie,
Westchnął w pokorze i w serca prostocie:
„O Panie, Panie, niezapomnij o mnie!“
I wyrzekł Stwórca: „Twa prośba twem mianem,
„Niezapominajką będziesz wszędzie zwany,
„I w rozłączeniu dwom sercom kochanym
„W wzajemną pamięć będziesz podawany.
„I będziesz w równi z innemi kwiatami,

„Bo w jednej barwy suknie was odzieję,
„Fiołkom, róży z niezapomnijkami.....
„Dam liść zielony z godłem: Miej nadzieję!“—

W... K..

SKROMNE NADZIEJE.

Powieść odporna.

(Ciąg dalszy).

Musiały wiele wycierpieć członki biednego Bazylka, zanim je wścisnął do tej darowizny swego pana. Mimo niewolniczo służebnej duszy, za wiele cenił Bazylek pzygrodzoną wolność członków swoich, aby im wzbronić właściwego rozwoju. To też żaden but nie postał na dziewiczej jego nodze, nie obrzucił jego palców bolesnemi nagniotkami, bo właściciel im pozwolił rozrosnąć się do należytej wielkości, jak niemniejtęż i barki jego nie wykrzywiły się żadną francuską modą.

Dla tego też była to najboleśniejsza dla niego chwila, w której musiał po raz pierwszy zastósować się do form społeczeństwa i je sobie przyswoić. Najtrudniej szło mu z butami, o dwa cale krótszemi od jego nogi; ale silny duch wszystko zmoży. A gdy raz przedsięwziął sobie zbliżyć się do form społeczeństwa, chociażby one często tak mu się niestósowne wydały, jak te buty do jego nogi, wytrwał pomimo boleści chwili przechodowej, i buty wciągnął na nogi.

O ileż to jest między nami, którzy podobnie do Bazylka, naciągamy z boleścią pierwsze formy społeczeństwa, nietylko z boleścią serca, ale nawet i sumienia.

Lecz pierwsza boleść przeminęła, a Bazylek poszedł z podróżnym do karczmy swojej rodzinnej, aby po raz ostatni łyknąć wódeczki Ickowej. Stąpał on dumnie jak struś przed obliczem zagapionego ludu, który w swoim bezrozumie szturkał się łokciami, mówiąc: „biedny, biedny Bazylek, do tego przyszło, że został fagasem“.

I znowu nie zrozumiała go społeczność w jego szczęściu nieokreślonem, i bolała na widok jego, gdy on czuł się najszczęśliwszym. Jemu się już zdawało, że stósownie do obrazu wielkości społeczeńskiej, tak genialnie niedawno przed jego wzrokiem odsłoninego, jest już owem olbrzymiem ogniskiem piekarni, wystającej ponad poziom błota kuchennego, a za krótki czas przebije głową snopki plebanii i jak król spoglądnie dumnie na całą krainę. Z ust swoich szerokich wypuści dym na całą wieś, tak jak wielcy panowie, wypuszczają z ust swoich błękitny dymek cygarów.

Kiedy jednak to nastąpi, i w jakiej formie objawi się ta jego wielkość przyszła, o tem nie myślał jeszcze szczęśliwy Bazylek, bo za nadto powabu miała dla niego nowa obecność jego, aby po za jej kształty wynieść się duchem i marzyć o niebieskich migdałach, gdy tymczasem w jego ręku mógł spleśnieć, chleb powszedni.

Więc zakąsił w ten chleb całą gębą i odszedł z panem do Lwowa.

Od kilku wieków suszą sobie uczeni głowy, czyby to niemożna wynaleść dwóch sił, zależnych od siebie, któreby działały przeciw sobie z wzajemną korzyścią, to jest, żeby żadna z tych sił przez swoje działania niczego nie traciła. Wynalazek taki uczyniłby możliwem tak wielce upragnione „perpetuum mobile,“ ale że dotychczas w świecie fizycznym takich sił, siebie wiecznie uzupełniających niema, toć i „perpetuum mobile“ należy do dziś dnia w krainę marzeń.

Czego nie dokazano w nauce wyższej, tego dokonał nasz wędrowny w kompanii z Bazylkiem.

Przyszedłszy bowiem do Lwowa, i zjadłszy kilka obiadów „pod koroną“ poznał przybysz że jego filantropia może się stać wprost niemożliwą, zważywszy jeszcze i to, że jego nowoczesny „Kaliban“ miał apetyt niepospolity. Owoż poszedł po rozum do głowy przemysłowiec, i wymyślił sposób, który domowe jego „minus“ miał przemienić w niewyczerpane „plus.“

Porozpowiadał między swymi kolegami w kancelaryi, że idąc przez podgórze karpackie, nadybał był w puszczy niedźwiedzia, którego wziąwszy ze sobą, do tyle go oswoił, że może mu bez obawy powierzyć drobne około swojej osoby usługi. Egzemplarz ten jest tem rzadszym, że ma na łbie włos czerwony, umie doskonale czyścić buty, wybornie nosi wodę, a najgenialszym z wszystkiego jest w obżarstwie, bo sam jeden jest w stanie zjeść za cztery osoby. To też z tego względu, chcąc dalsze filantropijne experymenta uczynić możliwemi, zamyśla go oddać opiece ogółu, któremu on, za małe, do rąk jego właściciela składane honorarium, wybornie służyć będzie.

Tak genialna myśl nie została bez echa. Ciekawość i potrzeba szły z sobą na wyścigi, aby choć na godzinę co dzień posiąść na własność owego Kalibana, jego anormalnym widokiem się napoić i się nim obsłużyć. Zbiegały się cwancygierki do kieszeni przemysłowca, a szczęśliwy Bazylek biegał za to w najodleglejsze kąty miasta, nosił wodę, wichsował buty, zamiatał, czasem dla rozrywki którego z panów produkował się w wygłaszaniu głosek pojedyńczych, gdyż aby mówił słowami i z rozumem, tego nikt po nim nie wymagał.

Otóż pan jego główny i on, były to owe dwie siły, które wzajem z korzyścią na siebie działały. Bazylek był szczęśliwy, że jadł i że go poszturkiwano, a jego pan miał daremną usługę, a nawet obliczywszy wikt została się z „honorariów“ nie szpetna przewyżka, którą do swojej kabzy chował przezorny filantrop, na wypadek nieprzewidziany. Więc obaj mieli z siebie korzyść, i obaj byli z siebie zadowoleni. Taki to stosunek musi zachodzić między tajnemi siłami natury, bo przez niego możemy tylko sobie wyobrazić *wieczność istności*. Gdyby takiego stosunku nie by_

ło, gdyby siły działające wzajem się zużywały, lub na korzyść innej działały, całe stworzenie byłoby rzeczą doczesną, lub przeszłoby z czasem w inny kształt, któryby także nie mógł pozostać wiecznym. Wspomniałem to dla tego, aby myślicieli ludzkości zwrócić na to odkrycie, że jak w dziejach i społeczeństwie, tak i w stosunkach narodowych są pojedyncze momenta, które wzajemnie się wspierają i uzupełniają. Bo dotychczas wszędzie widziano tylko zasadę *dwoistości*, to jest: „principium negans et affirmans,“ mówiono, że w całej ludzkości niema tej uzupełniającej się wzajemności, tylko tworzenie i negacya tego, „plus i minus,“ i że interesa narodów wzajem się krzyżują i nieustannie sprzeciwiają.

Otóż wyjaśniony między Bazylkiem a jego panem stosunek, chociaż w zmniejszonym obrazie, okazuje nam jednak dowodnie, że rozum ludzki może wynaleść punkta, w których interes dwóch potęg może się wzajemnie wspierać a nawet uzupełniać.

Szczęśliwy Bazylek latał z jednej ulicy na drugą, roznosił wodę, buty i drwa do pieca, dmuchał w ręce i chuchał, a gdy się go spytano, czy jest zadowolony, Bazylek podskoczył do góry, gwizdnął w palce i dalej pobiegł.

A musiał też biegać nieszpetnie, od jednych rogatek do drugich, a wszędzie musiał być na czas, przynieść kawy, tytoniu, chleba i bryndzy; tej ostatniej nie tak często, bo ta była u jego panów rodzimą. Był to żyjący lokomotyw, buchający parę, a czerwona jego grzywa rozwiewała się w wietrze, jak ogniste płomyki nocnego pociągu, ostrzegające wędrownego, aby się z drogi ustępywał. A było się także komu ustąpić, bo Bazylek nie szedł nigdy z gołemi rękami, jak chodzą próżniacy lwowscy, ale był zawsze obciążony jak koń juczny, stękał i sapał, fukał i roztrącał, a przecież nikt mu tego nie wziął za złe, bo każdy szanował w nim ferwor dobrego sługi, i każdy chętnie przyjął ad niego szturkańca.

To też sławny był na cały Lwów Bazylek czerwonowłosy; każdy go znał, widział i podziwiał. Przy tak powszechnej estymie zdawało się Bazylkowi, że już wyżej się podniósł, niżeli ognisko piekarni, a gdy w nieobecności którego z panów swoich w zwierciadło się popatrzył, i czerwone włosy swoje obaczył, przekonał się, że tak wysoko stoi już w społeczeństwie, jak tylko najwyżej dosiągnąć mogą płomienie z grubej bukowej kłody, położonej na ognisku w piekarni.

Z tego powodu począł już trochę Bazylek zbaczać od danej mu informacyi, a pojąwszy swe stanowisko, stawał się z niego nieco dumnym. A jakże nie miał być dumnym, jeźli wszystkie chłopcy z ulicy lecieli za nim, jak za rarogiem i wołali: „pali się, pali!“ jeźli go każda przekupka znała z jego głowy czerwonej i z jego zadowolenia, malującego się wybitnie na twarzy jego poczułowatej. Bazylek, Bazylek, wołano zewsząd, gdzie się tylko okazał, a on śmiał się do wszystkich, bo oczywiście wolał, że się z niego żartowano, niżeli żeby okładano szturkańcami.

Owoż tym sposobem stał się, jeżeli nie sławnym, to słynnym a jak każda, najmniejsza słynność szkodliwie działa na ludzi, o tem najłatwiej można przekonać się na młodych, wierszujacych chłopcach, którzy w nadziei dostania się na Parnas, niejedną noc bezsenną przetrawią, nie jeden rok nauki rzeczywistej zaniedbają, a w końcu się ockną z swego szału wtedy, gdy już najczęściej jest za późno. Jakże za złe możemy mieć Bazylkowi, że śród służby swojej zapragnął do czegoś wyższego, do czegoś wznioślejszego. Był to wprawdzie błąd, a błąd sowicie później ukarany, lecz sam jego mentor mówił mu, że z małych cegiełek składa się komin plebanii. Wszak on nie zażądał żadnych rzeczy niepodobnych, jak to czynią zagorzalcy, chociaż najwięcej miałby do tego powodu, bo głowa jego, literalnie *gorzała*. (D. c. n.)

O przedruku Słownika Lindego.

(Ciąg dalszy).

Wnosimy z uczuciem prawdziwej wdzięczności dla znakomitego filologa, wnosimy w imieniu spółczesnego nam pokolenia prośbę do przyszłych pokoleń, które wygotują Słownik języka taki za jakim tęsknimy, jakiego tutaj pomniejsze zarysy staraliśmy się uchwycić i żądamy po nich by wydały przerobiony zupełnie, poprawiony i zupełny Słownik Lindego. Inne narody niech mają Słowniki akademickie, my zawsze powinniśmy mieć *Słownik Lindego*. I to piękna strona publicznego naszego żywota; nad czem się gdzie indziej ludzie i wieki silili, tego u nas jeden człowiek poświęcony nauce dokazał.

Ale powiedzą nam nakoniec wydawcy lwowscy Słownika, że choćby tak jak jest dzisiaj wydrukowali ogromne dzieło Lindego, przyznają sobie zasługę, bo rozpowszechnią skarby języka i zrobią je dostępnemi dla wszystkich. Dzisiaj Linde jest rzadki i egzemplarz jego do 45ciu rubli kosztuje. Sama prenumerata kilkanaście dukatów wynosiła; na druk dzieła, na każdy prawie tom, nowy pan i mecenas się składał. „My sami bierzem nakład wielki, powiedzą wydawcy, a to co kosztowało kilkaset złotych, damy za cztery dukaty. Słownik, który dziś dla małej liczby wybranych jest dostępny, będą sobie mogli kupić nawet nie bogaci ludzie.“

Na pozór praktyczna to bardzo zasada, a w takim razie wydawcy lwowscy mieliby słuszność po sobie. Nie sądzim.

Zapytajmy się naprzód sami siebie: kto u nas potrzebuje słownika? Naprzód uczeń, który dla tego żeby języka się jakiego nauczył, musi rozbierać zadaną lekcję, a więc szukać wyrazów w Słowniku i uczyć się ich znaczenia na pamięć. Taki uczeń potrzebuje Słownika obcego języka, łacińskiego, niemieckiego, francuzkiego, i ten słownik dla niego lepszy, który lepiej znaczenie wyrazów obcych w języku rodowitym tłómaczy. Uczniowi nic nie przyjdzie ze Słownika polskiego: znaczenia ojczystych wyrazów wyuczył się w domu, wyssał znajomość mowy swojej z mlekiem, tyle o ile mu jej potrzeba w latach nauki, zresztą co trudniejsze, co oderwańsze, co nie tak zwykłe, to mu nauczyciel w szkole wytłomaczy.

A więc Słownik języka polskiego dla nas Polaków kiedyż i komu potrzebny? Juścić nie temu kto wiele czyta, często nawet nie temu kto wiele pisze. Polak który czuje potrzebę zajrzeć do Słownika takiego jaki dał nam Linde, ten Polak musi dobrze umieć po

polsku. Zagląda on wtedy do Słownika, kiedy chce się nauczyć co znaczy ten a ten wyraz, którego nigdy nie słyszał; zagląda dla tego żeby poznał jakie znaczenie mógł mieć dawniej wyraz, którego w tem zdaniu lub wyrażeniu nie rozumie; zagląda dla tego żeby się przekonał, czy tego a tego zwrotu mowy używali dawni Polacy. Znamy autorów którzy całe życie swoje nie zaglądali do Słownika Lindego, a piszą czysto i poprawnie po polsku. Jedno drugiemu nie przeszkadza.

Cóż z tego wszystkiego wynika? Oto, że Słownik Lindego jest naprzód książką nie dla powszechnego użytku, a powtóre że kupować Słownik Lindego jest już pewnego rodzaju zbytkiem. Historyk jeżeli chce sobie utworzyć bibliotekę, kupi naprzód Bielskich, Stryjkowskiego, Naruszewicza; teolog kupi naprzód Skargę, Birkowskiego, Wujka; naturalista postara się wprzód jeżeli się znajdzie, o zielniki, o Marcina z Urzędowa lub Spiczyńskiego, a potem kupi sobie Kluka, Jundziłła, Ładowskiego; poeta Kochanowskiego i Krasickiego, i tak dalej. Linde ma jednakową wartość tak dla teologa jak i poety, dla historyka jak i dla naturalisty. Każdy z nich zbierze już dzieła swojego wydziału, i dopiero wtenczas pomyśli o Lindem, jeżeli i Słownik posiadać zechce. Jednem słowem, Linde jest dla wszystkich potrzebny i dla nikogo; wszyscy go mieć mogą i wszyscy bez niego obejść się potrafią. Trudno, głową muru nie przebije. Kiedy Słownika nie ma pod ręką, cóż robić?

Więc wydawcy lwowscy sądzą, że kiedy zniżą cenę Słownika, to jest kiedy sprzedawać go będą tanio w drugiem wydaniu, zrobią przysługę dla literatury? Niestety! bardzo się mylą. Nie stoimy jeszcze na nieszczęście nasze na tym stopniu oświaty, żebyśmy czuli potrzebę poświęcenia czegoś z naszej strony, aby tylko pięknemu przedsięwzięciu nie dać upaść. Jeszcze panuje u nas zwierzęcy instynkt, ceną praktyczności wszystko mierzymy. Któż u nas kupi Słownik Lindego? Oto na palcach wyrachujem tych panów i pewno się nie omylim. Zachęta taniości czyż będzie działała na tych, którzy potrzeby Słownika nie rozumieją? którzy nie mieli, nie mają i mieć nie będą nigdy bibljoteki? którzy nie czytają nic w świecie prócz kalendarze i Kurjera? Żebyś im sto razy powiadał że Słownik Lindego warto nabyć, bo będzie kosztował cztery dukaty, a kosztował kiedyś kilkanaście dukatów, czyż to ich wzruszy? Nie dziwim się wcale temu, że mogą być obojętni na tę sprawę. Kwestja taniości skusić może jakiego antykwarjusza, ale nigdy ogółu. Bo dajmy na to, namówiony ktoś kupi Słownik i cóż z nim zrobi? Położy na półce i odda na strawę myszom. Toż wolałby kupić powieść, bo powieść sam przeczyta, da ją wreszcie żonie i córkom. U nas książki popularne, koniecznie potrzebne, służące do elementarnego ukształcenia publiczności, nie wiele jeszcze budzą spółczucia, bo żal pieniędzy, a cóż dopiero Słownik Lindego, który ma kosztować aż 4 dukaty? To ogromna summa dla ludzi, którzy i talara na rok nie przywykli wydawać na książki.

A ludzie specjalni, ludzie znający język? ci przynajmniej kupią Lindego drugie wydanie. Piszących, licząc w go największych bazgraczów, jest u nas do sześć set osób. Przypuszczamy, że w najszczęśliwszym razie dla wydania, 600 exemplarzy Słownika się rozejdzie, — bazgracze go nie kupią, ale w ich miejsce wliczymy ludzi niepiszących a światlejszych naszego społeczeństwa. To już największa liczba, jak przewidywać nam wolno. Światłych ludzi, nie możem na to narzekać, dosyć jeszcze między nami, ale sumiennie zaręczyć nie możem, żeby każdy z tych światłych ludzi kupował książki chociażby o tyle, o ile mu dochody na to pozwolą. Rozumują rozsądnie, zdanie mają wytrawne, sąd nieraz oryginalny, a przecież każdy woli pożyczyć sobie książkę od przyjaciela, jak ją kupić, — wszak mu wszystko jedno czy przeczyta własną czy pożyczoną? Otóż i tutaj mała nadzieja na pokup Lindego.

Teraz pamiętajmy na to, że Tatarzy ani Szwedzi nie spalili pierwszego wydania, które całe zapewnie jak wyszło na świat, jest w obiegu. Pamiętajmy, że wielu dzisiejszych autorów, na którychby wreszcie liczyć można, mają to pierwsze wydanie, po ojcach, po krewnych i darowizną, a wielu kupiło Lindego na licytacji, bo i takie przykłady przynajmniej u nas w Warszawie były częste. Pamiętajmy, że większe biblioteki rządowe i prywatne posiadają Lindego. Więc po cóż taki n. p. autor który ma pierwsze wydanie, będzie kupował drugie? Jeżeli w drugiem będą dopełnienia, kupiłby może te dopełnienia, gdyby je sprzedawano osobno, ale dla dopełnień nabywać całe dzieło, czyż warto? Pamiętajmy wreszcie, że w każdym razie Słownik Lindego jest książką więcej biblioteczną jak pierwszej potrzeby. Stąd niejeden potrzebujący zajrzeć do Słownika, zgłosi się do pierwszej lepszej biblioteki i w niej znajdzie to co mu potrzeba w Lindem. Przewidujemy zatem z boleścią przyszłość tego drugiego wydania Słownika; rozejdzie się go kilkaset może exemplarzy po kraju, reszta leżyć będzie na składzie w Bibliotece Ossolińskich pół wieku a może i więcej, jak przeleżało pierwsze wydanie u autora który w dniu swej śmierci miał jeszcze wiele z całego nakładu. (D. n.)

Teatr krakowski.

(Ciąg dalszy)

Panna *Radzyńska Józefa*, wyborna Rejcia żydówka (*w Stacyi*,) nieporównana Kogucina (*w Chłopach*,) Fertycka (*w Starej elegance*,) rzuciła się do ról, do których ją ani wiek, ani usposobienie, ruchy, obejście, ani zdolności nie powołują. Stefano brat szycerza, (w *Arcydzieło*) nie był to młodzieniaszek kilkonasto-letni, żwawy, lecz ugrzeczniony, żywy a skromny, lecz był to chłopak rąbiący słowa jak siekierą, dojrzały, nie wyglądający zbyt młodo, a nieokrzesany. Żydówka kochanka (*Deborah*,) deklamowała dobrze; ale w deklamacyi znać było tylko wprawę długoletnią artystki, świadomość jak należy zniżać głos lub podnosić na effekt, wybijać dobitniej niektóre słowa. Wszakże, oprócz jednej sceny, przekleństwa w akcie trzecim, nie było znać ani iskry przejęcia się charakterem, zaswojenia go sobie, przedzierzgnięcia się w takowy, ani iskierki uczucia i pojęcia miłości niewieściej namiętnej, — podobnież nic więcej, prócz biegłości nie dostrzegliśmy w oddaniu tkliwego charakteru Magdaleny (*żony Pajaca Belfegera*). Tkliwość, snadź, już nie jest w naturze tej artystki, a sztuka, posunięta i do wyższego stopnia, nie zastąpi tego co dawno w sercu wygasło. W obudwóch tych rolach, sprawiał nie miłe na nas wrażenie obraz kłamanej niezręcznie miłości, i zbyt udawanego zapału na effekt. Wszelako zdanie nasze osobiste, może być bardzo mylne, albowiem artystka niemal po każdym akcie wywoływana, otrzymywała oklaski nie skąpe, takie może, co i Królikowski, chociaż temu, płynąc słowa ze serca, przepływały do serc słuchaczy. Panna Radzyńska zresztą, gdy ma właściwe sobie role, bab, intrygantek, złośnic, panien przekwitłych, role nie przypominające miłości i młodości, tam zawsze grywa nader szczęśliwie, i nikt nie zastąpi jej miejsca.

Panna *Okońska* miała ról kilka, w których potrafiła się zawsze korzystnie wydać, jako to: Tekla (*w Okrężnem*,) Anna (*w Deborah*,) Flora tancerka (*w Bajazzo*,) Hortenzya (*w Stacyi*,) Gertruda (*w Dwaj mężowie*). W Okrężnem i Deborah, postacie kochanek łagodne, potulne, umiliła grą prostą, niewykończoną, ale czującą to co wypowiada i ujmującą niepretensyonalnością. W składzie dzisiejszej tru-

py jestto artystka wcale dobra, umiejąca zawsze role swe dokładnie, grająca z prawdą i wdziękiem.

Pani *Kosorotowowa*, dała dowody wielkiej wprawy scenicznej, śmiałości i życia, choć nie roztacza tego uroku jakim opromienia się młodość i powaby zewnętrzne. Jadwiga (*w Starej elegantce*), Klara (*w Okrężnem,*) role niewielkie, upostaciowała wcale umiejętnie; — jestto jedyna artystka do ról kobiet żwawych, rezolutek.

Panna *Ładnowska* dość miłej powierzchowności, toż pani Sulikowska, ale w grze obojga widne jeszcze abecadło sceniczne. Panna *Micińska* również przyjemna, lecz początkująca, mając głos miły dźwięczny, ozdabia śpiewki w krotofilach, mianowicie grywając wiejskie dziewczątka (np. Marysia w *Chłopach*). Panie: *Ładnowska* i *Królikowska*, w rolach starszych niewiast występują dość często, ostatnia miewa role przydłuższe i komiczne.

O innych aktorach jako to: *Benda, Galasiewicz, Iwankowski, Królikowski*, syn Karola, jeszcze nic pisać nie można, bo dopiero zarabiają na miano artystów; pierwszy miewa nieco większe role, lecz gra jego jeszcze niepewna i nie poprawna, choć widać wielką różnicę od kilku miesięcy.

Występował też sędziwy nestor artystów, zasługujący się scenie więcej niż od pół stolecia. *Zygmunt Anczyc* w roli Abrahama starca ślepego, (*w Deborah*) odpowiedniej zgrzybiałemu wiekowi sprawowanego artysty i tłumacza wielkiej liczby dzieł scenicznych.

Przejrzeliśmy skład artystów i ich zdolności; — prawda, że napotykamy na znaczne braki, w obsadzeniu dramatu i tragedyi, gdy do komedyi, są siły jako tako wystarczające. Skoro zaś przybędą nowi artyści, nowy repertoarz, teatr może podźwignąć się stopniowo lecz tylko o tyle, o ile dobrym chęciom i zabiegliwości dyrektora, odpowie czynna pomoc publiki, pomoc udzielona chociażby z uszczerbkiem partyi preferansowych w resursach, z uszczerbkiem niedopitych kuflów po handlach, z uszczerbkiem zabaw, mniej połączonych z pożytkiem umysłowym i dobrem narodowości.

Teofil K.

Rozmaitość.

* **Wiedeń**, dnia 27. listopada. Wiedeń dopiero od dni kilku nabrał nieco życia, gdyż cholera zabrawszy kilka tysięcy ofiar, zaczyna wynosić się po za mury miasta, krocząc ku północy. Mniej odważni, których ta epidemia zatrzymała na prowincyi, zwolna przezwyciężyli wstręt, a powodowani ruchem i zabawami stolicy, powracają zwolna — bo w Wiedniu życie, nie jestto pracować, lecz gonić za zabawami, po kawiarniach, teatrach, koncertach, widowiskach ,balach i t. p. Wczoraj n. p. już o godzinie w pół do 11. z rana, była licznie zgromadzona publiczność przed teatrem opery, tworząc długi szereg przed bramą; było to bowiem południowe przedstawienie o godzinie 1. Przed wieczorem znów o godzinie 4. zgromadzenie publiczności przed tym samym gmachem było nierównie większe czekając na otwarcie bram tej świątyni, aby sobie ułatwić przystęp do kassy na wieczorne przedstawienie baletu: *Rozbójnik morski*. Na bastjonach, Jägerzeil, w Praterze, publiczności co nie miara, bo dzień pogodny wyciągnął wszystkich z domu. My tu po kilku dniowych mrozach i śniegu, mamy teraz tak piękną pogodę że jej nam i Neapol pozazdrościć może.

Wczorajszy wieczór, jako ostatni dzień zabaw przed adwentem, a tak nazwany «Katharinen-fest«, ożywił wszystkie sale publiczne i salony prywatne, tańcem; był to istny dzień karnawałowy, tymbardziej iż bal maskowy, jak zwykle co roku, tą razą nie był dozwolony, niby z powodu krytycznych czasów; lecz w Wiedniu ani śladu biedy, przepych coraz nowych sklepów, wytworność ekwipażów, elegancya strojów zaćmiewa tę nędzę i niedostatek, które w przedmiejskich ustroniach tej zamożnej stolicy, obok blasku i świetności i bogactw, nierównie są większe jak w naszej na pozór biednej Galicyi. Jednakże wypadki na wschodzie tak dalece zajmują umysły wszystkich, że bogaci zapominają o biednych, a biedni o swym niedostatku, każdy rad co usłyszeć lub wyczytać o Krymie i Sebastopolu.

Ostatnia bitwa pod Inkermannem, bywa tu w rozmaity sposób opisywana i opowiadana, jednak prawdy dojść trudno, bo w Wiedniu Rossya nie ma ani jednego stronnika między dziennikarzami, a tym mniej między dyplomatyzującemi po kawiarniach, tylko moda zyskała nazwy rossyjskie, i tak surdut długi zowie się: *mężykofer*, mantyla damska: *Sebastopoline*, lub też *Tartarenschawl* i t. p.

Pomiędzy rozmaitemi anegdotami dotyczącemi Wschodu i Rossyi, kursuje tu także jedna, charakteryzująca dowcip Ces. Mikołaja. Pewien kupiec w Petersburgu, znieważył w swoim sklepie pewnego Francuza, obraza honoru była za wysoko posunięta, tak iż Cesarz kazał przywołać kupca. Na zapytanie dla czego sobie tak postąpił, odpowiedział kupiec, iż to uczynił jedynie z nienawiści dla całego rodu Francuzów. Otóż aby ci dać sposobność, była odpowiedź Cesarza, wywarcia jak najsilniejszej nienawiści przeciw Francuzom, więc ułatwię ci wstęp do armii w Krymie. Rozumie się że ta propozycya była rozkazem, który niebawem został wykonany, a zamożny kupiec na drugi dzień był już w drodze ku Sebastopolowi!

W teatrach cesarskich z wielkim zapałem przyjmowane są sztuki: i tak w Burgtheater trajedya: *Der Fechter von Ravenna* z zastósowaniem Niemiec do obecnych stosunków Europy, tudzież w operze balet: *Rozbójnik morski*, w którym bombardowanie Sebastopola przedstawione jest w całej okazałości ze strony morza: Bomby, rakiety, płomieniejące kule, huk dział, dopełniają widoku. W teatrze Carla, przedstawiają jedno-aktową komedyą p. n. *Turcy* i *Rossyanie*, jestto trafne przedstawienie dwóch zaciętych stronników w obecnej wojnie, którzy zdań swoich pogodzić nie mogą, aż dopiero za pomocą pojedynku szabli tureckiej z długą kozacką piką. Dowcipy trywialne i jedynie przez zastósowanie do okoliczności dobrze przyjmowane. Pomiędzy utworami muzycznemi, nie źle jest przyjęty *Napoleons-marsch* skomponowany przez Straussa, a dedykowany Cesarzowi Napoleonowi, został przez niego przyjęty.

W ogrodzie ludu (Volksgarten) budują obecnie na wzor berlińskiego zimowy salon, gdzie przestrzeń pod dachem szklanym, ustrojona kwiatami, będzie służyć nadal za miejsce na koncerta Straussa, i za rendezvous dla eleganckiej publiczności tutejszej.

Budowa kolei galicyjskiej jest nadzwyczaj energicznie popierana w ministerium, aby zaś na przyszłość, jak najspieszniej połączyć Lwów z obydwoma końcami Galicyi, przeto na wiosnę wysłany zostanie do Czerniowiec oddział inżynierski dla wytknięcia jak najkorzystniejszej i najłatwiejszej do budowy kolei, linii pomiędzy Lwowem i granicą siedmiogrodzką. Bliższe a ciekawe szczegóły o kolejach żelaznych w państwie austryackiem, zostawiam do przyszłej korespondencyi, sądząc iż te nie będą obojętne dla publiczności czytającej.

....n.....i.

Szarady przez P.

1. Pierwsze rzeka, a drugie jest tylko sylabą,
Trzecie z czwartem podpiera, alo dosyć słabo.
Wszystko jest w towarzystwie największą ozdobą,
U rządzących rozumu największą jest próbą.

2. Pierwsze kipi, drugie daje,
Wszystko płynąć nieprzestaje.
I płynie sobie spokojnie
Chociaż tak blisko przy wojnie.

Przyjechali od dnia 1. do 3. Grudnia do Lwowa.

PP. Badeni Władysław, z Surochowa. Pakosławski Jan, z Brzeżan. Niewiadomski Teodor, z Soposzyna. Mier Henryk, hr. z Buska. Lewandowski Ludwik, z Rzeszowa. Padlewski Romuald, z Uherec. Zawadzki Władysław, ze Złoczowa.

PP. Żarski Kazim., z Kulawy. Dzieduszycki Wacław, hr. z Medowy. Thullie Joanna, z Mokrzan małych. Starzyński Józef, hr. z Mogielnicy. Starzyński Leopold, hr. z Mogielnicy. Smarzewski Seweryn, z Hankowic. Doliński Franciszek, z Mrowli.

PP. Brenner Antoni, z Grodowic. Wojczyński Alfred, z Rawy. Kleczkowski Franciszek, ze Skomoroch. Ochocki Seweryn, z Czortkowa. Andrzejowski Piotr, ze Złoczowa. Dobek Konstanty, ze Srok. Lunda Edmund, ze Siedlisk. Karnicki Kajetan, hr. z Bełzca. Dobrzański Marcel i Julian, z Milatyna. Stadnicki Edward, hr. ze Sącza. Tyszkowski Józef, z Rybotycz.

Wyjechali od dnia 1. do 3. Grudnia ze Lwowa:

PP. Małachowski Ludwik, do Rokitna. Chwalibóg Jan, do Lipowca. Tenczarowski Tomasz, do Brzeżan. Majewski Jan, do Tarnopola. Antoniewicz Wincenty, do Skwarzawy. Barański Karol, do Chłopczyc.

PP. Ośmiałowski Szymon, do Janczyna. Orłowski Feliks, do Zagrobelli. Cetner Aleksander hr. do Złoczowa. Gnoiński Aleksander, do Krosna.

PP. Smoliński Antoni, do Hruszowa. Drzewiecki Józef, do Remanowa. Urbański Rudolf, do Dobroszyna. Kalinowski Władysław, hr. do Bakowiec. Manasterski Józef, do Sanoka. Duniewicz Edward, do Gródka. Tretter Konstanty, do Łoń.

Kurs telegrafowany z Wiednia 4 b. m. o g. 2. po połud.

Amsterdam	—	Medyolan za 300 lirów .	123 7/8
Augsburg za 100 złr. .	126 3/4	Paryż za 300 franków .	146 1/4
Bukareszt	—	Agio dnk. ces.	—
Frankfurt za 120 złr. podług 24 1/2 stopy	126	Srebra agio	—
Genua.	—	Pożyczka 5% 82 9/16 4 1/2	72
Hamburg za 100 tal. banco	93 1/2	Pożyczka lit. B. . . .	—
Konstantynopol	—	Akcye banku	—
Liwurno	—	Kolej północna	—
Londyn za 1 funt szterl.,	12 10	Obl. ind.	—
Marsylia	—	Nowa pożyczka z loteryą	97
		Pożyczka narodowa . .	86 7/8

Wczorajszy **Kurs Lwowski** Gotówką towarem.

Dukat holenderski	złr.	5	kr.	50	złr.	5	kr.	54
Dukat cesarski	«	5	»	56	»	5	«	59
Półimperyał zł. rosyjski	«	10	«	2	»	10	«	6
Rubel srebrny rosyjski	»	1	«	56	«	1	»	57
Talar pruski	»	1	«	52	»	1	«	55
Polski kurant i pięciozłotówka	»	1	«	25	»	1	«	26
Galicyjskie listy zastawne za 100 złr. bez kuponu	»	86	«	30	»	87	«	—

Obligacye, indemnizacyjne 74. 16. do 74 złr. 30 kr.

Wydawca i odpowiedzialny za redakcyą: **H. W. Kallenbach.** Z drukarni **E. Winiarza.**